

Kronika tygodniowa.

Mamy więc deszcz, o który tak prosiliśmy gorąco, nawet więcej, niż go potrzeba. Zadeszczyło się nie w porę, bowiem w czasie żniw, ale to już nie nasza wina, lecz, o ile mi się zdaje, referenta niebieskiego od pogody. Wszyscy oni jednacy, zdaniem się nigdy nie spieszy.

Pod pewnym względem jest to zresztą łatwo zrozumiałe, iż nasze prośby o deszcz zostały tak załatwione, trzeba bowiem pamiętać, iż z ziemi do nieba jest bardzo daleko (szukałem w encyklopedyi, jaka odległość w kilometrach, nie mogłem jednak znaleźć), głos zaś, jak wiadomo, o ile nie natrafi na żadną przeszkodę w drodze, potrafi ujechać trzydziestu metrów na sekundę (Głos Narodu posuwa się jeszcze wolniej!). Wiele więc czasu potrzeba, zanim petycja mieszkańców ziemi dostanie się na właściwe miejsce.

Przypomina mi to anekdotę, jaką opowiadają o ś. p. Machaczku, proboszczu w Nowym Sączu.

I wówczas panowała ogromna posucha, odbywały się też procesje błagalne, o deszczu przecież ani słyszeć. Także i protestanci, którzy w Sączu mają swój zbor i pastora, urządzili w tym celu nabożeństwo i, o dziwo, zanim się ono skończyło, lunął deszcz, jak z cebra.

Wieczorem, gdy się nieco wypogodziło, wyszedł ksiądz Machaczek na przechadzkę i spotkał się z pastorem, z którym żył w przyjaźni.

— A co? — woła pastor — Kogo Pan Bóg lepiej lubi, katolików, czy protestantów?... Od czasu waszej procesji upłynęło już przeszło dwa tygodnie, a deszczu nie ma, nasze nabożeństwo ledwie się skończyło, już pada!

— Słuchaj! — ksiądz Machaczek mu na to — Chodziłeś ty do gimnazjum?

— Naturalnie!

— A uczyłeś się fizyki?

— Myśle!

— To chyba wiesz, z jaką chyżością głos posuwa się w powietrzu. Trzysta trzydzieści metrów na sekundę. Daleko z ziemi do nieba?

— Pewnie!

— No, to widzisz!... Ten deszcz, który teraz padał, jest właśnie tym, o który my przed dwoma tygodniami prosiliśmy, wasz będzie dopiero za dwa tygodnie!

I w ten sposób go przekonał, ja zaś, przytaczając ten przykład, przekonałem, sądzę, Szanownych Czytelników.

Gdy taka prośba o deszcz dostanie się do nieba, kierują ją najpierw do dziennika podawczego, gdzie zostaje zaciągnięta do rejestru, otrzymuje swój numer, a następnie naczelnik biura przydziela ją odpowiedniemu referentowi. Tutaj, zupełnie tak samo, jak w naszych biurach, musi się na biurku znaleźć odleżek, im więcej bowiem papierów, tem urzędnik na ich tle poważniej wygląda.

Mając cały stos różnych spraw, pan referent, czy to ziemski, czy niebieski, zastanawia się co kilka dni, z której zacząć strony załatwianie, z prawej, lewej, lub może ze środka?... Decyzja jest bardzo ważna, trudno więc, by ją powziąć zbyt poręcz. Akta, jako spisane na papierze, są *eo ipso* bardzo cierpliwe, leżą więc spokojnie dalej, a referent wciąż się zastanawia nad owym powzięciem decyzji: z tej, czy z tamtej strony.

Wreszcie przychodzi urgens, któremu się także z zasady nie bardzo spieszy, odnosny akt znajduje się więc na samym wierzchu i rozpoczyna się poszukiwanie za *priorami*, bo bez nich żaden stateczny urzędnik sprawy załatwić nie powinien. Odbywają się więc wędrowki do registratury, połączone z odwiedzinami kolegów w innych biurach, czasem pod tym pretekstem małe wycieczki do miasta.

Tak się przynajmniej dzieje na świecie, w naszych urzędach rozmaitej kategorii.

Dlaczego zaś potrzeba *priorów*, postaram się to także wytłumaczyć.

Był raz pan radca, który „kawałki” przydzielał referentom, a potem, załatwione aprobował i na tem zasadzała się cała jego czynność urzędowa, za którą od władz przełożonych zbierał ciągle pochwały. Służbiści byli on w każdym calu, prawdziwym wzorem biurokraty.

Zdarzyło się, iż do jego biura przydzielono młodego, a zdolnego na prawdę referenta, któremu, jak to powiadają, robota paliła się w rękach. Pan radca nie był przecież z tego zadowolonym, twierdząc z całą powagą, iż „co nagle, to po dyable”, urzędowe kawałki powinno się załatwiać powoli.

Gdy referat gotowy przedłożył do aprobaty, pan radca, podsuwając okulary na czoło, pyta poważnie:

— Hm! A gdzie *priora*?...

— Panie radco — odpowiada zagadnięty — do tej sprawy żadnych niema *priorów*!

— A ja panu powiadam, że, dopóki *priorów* nie przegładnę, nie podpiszę!

— Skąd je mam wziąć?

— Bierz pan sobie, skąd się panu żywnie podobają, ale muszą być!

To powtarza się raz i drugi, młody referent się złościł po cichu, stary radca głośno.

Wreszcie zlitował się nad niedoświadczonym urzędnikiem stary kancelista, który od lat kilkudziesięciu pełnił swe funkcje przy boku pana radcy, wziął go też na bok i mówi:

— Panie doktorze! Radcy trzeba dać *priora*, bo bez nich stanowczo nie podpisze!

— A skąd je wziąć?

— Z registratury...

— Do tej sprawy niema żadnych *priorów*...

— E... Jakoś się je znajdzie! Niech pana do ktora o to nie boli głowa. Proszę mi dać referat, już ja to sam załatwię!

Nazajutrz, zaraz rano, wzywa pan radca referenta.

Młody człowiek zastaje go przy biurku, z miną widocznie zadowoloną, przed nim referat podpisany i cały stos zakurzonych aktów, wysokości, co najmniej pół metra.

— No! — odzywa się radca — A widzi kochany pan, że *priora* się znalazły!... Trzeba tylko mieć dobre chęci! Tak się powinno urzędować, jeśli się chce sprawę uczciwie i porządnie załatwić! Przegładnąłem sobie *vor-akta* i zaraz mi było jasne, o co chodzi... Proszę sobie zabrać referat i akta...

Młody człowiek zabrał wszystko, a przechodząc przez pokój, w którym urzędował kancelista, zapytał:

— Skądże pan wytrzasnął te akta?

— Skądżeby, z registratury...

— A ja ich znaleźć nie mogłem...

— Trudno było! Niech pan doktor popatrzy, one odnoszą się do innej zupełnie sprawy. Myśli pan, że radca bodaj okiem na nie rzucił? Tak samo związane sznurkiem, jak mu je wczoraj wieczorem na biurku położyłem... Ale *priora* muszą być!...

Wracajmy jednak do *meritum* rzeczy.

I nasz referent wynalazł wreszcie *priora*, przyniósł je do swej kancelaryi i położył na biurku, nie bardzo przecież się spieszył z wertowaniem, gdyż, jak twierdził, czuć je stęchlizną, co go drażni i powoduje katar i kichanie. Muszą się więc troszeczkę przewietrzyć...

Gdy się to już stało, a stało się, gdy nadszedł drugi urgens, referent zabrał się do wentylowania sprawy, zaczął czytać akta, wreszcie, po długich a dolegliwych cierpieniach, popelił referat i przedłożył go przełożonemu do aprobaty.

Ale temu się zbyt nie spieszy nigdy, jest on tego samego zdania, co ów legendowy radca „z *priorami*”, o którym wyżej była mowa. Wielkie rzeczy tworzą się pomału, a ważne sprawy załatwiają się powoli. Że zaś każda sprawa jest ważną, nawet taka, która idzie *ad acta*, należy się jej pozwolić znowu odleżeć na biurku, zwłaszcza w tych czasach, kiedy gazety tyle ciekawych wiadomości przynoszą z pola walki.

Gdy się zbierze w ten sposób więcej „kawałków”, podpisze się je za jednym zamachem, bo i kłóby się męczył czytaniem, zwłaszcza, że ci referenci piszą tak niewyraźnie, a pan aprobat, jako starszy człowiek, ma wzrok osłabiony...

Stąd akt, jako już załatwiony, idzie do ekspedytu, gdzie piękne rączki pięknych pańienek przepisują go na maszynie, ale i im się nie bardzo spieszy, każda bowiem pamięta zdanie, wypowiedziane ongiś przez św. Biurokracę: „Spiesz się powoli!”...

Dodajmy do tego czas jaki potrzebny jest na wyeksperymentowanie pocztą, lub doręczenie przez woznego, zwłaszcza, jeśli adres jest niezupełnie dokładny, a otrzymamy potężny okres czasu, podczas którego interesant mógł już zapomnieć, że wogóle wnosił jakąś prośbę lub petycję...

Jeśli więc tam dzieje się tak samo, jak tutaj, to jest, jeśli prośba mieszkańców ziemi o deszczowe opady musi przejść podobny alembik urzędowy, zrozumimy łatwo, pomijając już oddalenie ziemi od nieba, iż załatwiono ją jeszcze dość wcześnie. Prosiłiśmy o deszcz w maju, mamy go już w sierpniu.

Teraz zacznijmy starania o pogodę, a będziemy ją mieli na pewne w październiku!

Następstwem deszczu było wystąpienie Wisły z brzegów. Gdy to zobaczyła stara Rudawa, której koniec już zasklepiono, powiada sobie:

— Jej wolno, a mnie może nie?

I to rzekłszy, dalejże występować z brzegów,

zalewać Błonia, park Jordana, Oleandry, piwnice... Kto tego roku nie miał pieniędzy na wyjazd nad morze, znalazł bardzo dobrą sposobność brodzenia po wodzie. Wystarczyło pójść pod Sokoła, tutaj zdjąć buty, jeśli się je *nota bene* jeszcze ma i zabawa gotowa. Ja zrobiłem tak samo i dziś mam katar, spodziewam się też, że z tego powodu otrzymam zapomogę z funduszu, mającego być przez Wysoki Rząd za staraniem magistratu przeznaczonym dla osób, dotkniętych w jakikolwiek sposób powodzią. Na pierwszym miejscu postawiono wprawdzie kamieniczników, a na drugim dopiero lokatorów, myślę przecież, że tamci nie wezmą wszystkiego i że dla mnie jeszcze coś zostanie.

Odczyściło się też w ten sposób śmierzące koryto Rudawy i wytopiły na zmartwienie fizykatu bakcyle choleryczne i tyfusowe,

Dawniej należało jej oszczędzać, z powodu braku, teraz z powodu nadmiaru. Szkoda, że lubiący gasić pragnienie nie otrzymali subsydjów z funduszu miejskich, by mogli wodę zastąpić, bodaj na razie, piwem.

Najbardziej dokuczyła powódź jednemu z mych znajomych, który mieszka niedaleko Błonia, a okna i balkon ma zwrócone na kopiec Kościuszki.

Onegdaj spotykam go już o ósmej wieczór, idącego do domu.

— A czegoż to radca dobrodziej dzisiaj tak wczas do domeczku? Może jakaś niedyspozycja? — pytam.

On zaś na to:

— Zeby, panie łaskawy, tę powódź dyabli wzięli! Człowiekowi źle się robi. Wyjdę na balkon, woda, wyglądne przez okno, woda! A ja, panie, prócz do mycia, wody nie używam. Do tego ulicę zalało, musi człowiek bawić się w baletnicę i po desce iść do domu, a przyzna pan łaskawy, że przy mojej tuszy łatwo stracić równowagę... Brr! Aż mnie ciarki przechodzą, gdy sobie wspomnę, że człek może wpaść do wody i w niej się utopić. Wobec tego wracam do domu wcześniej, gdy jeszcze jasno i pijam wieczór o pięć bombek mniej, by mnie przypadkowo nie zamroczyło!

— To i w piwnicy musi radca mieć wodę?

— Naturalnie! Jakżeby się bez niej obeszło...

— Mogłbym w takim razie polecić panu pewnego młodego człowieka, który wynalazł znakomity sposób osuszania piwnic... Podał nawet już o patent! Swojemu ojcu tak w czasie nieobecności osuszył piwnicę, iż stary jej nie poznał nawet po powrocie! Co do utopienia się, o to niechaj się radca nie obawia. Przysłowia nie kłamią.

— Jak pan to rozumie?

— Tak, jak ów filozof, który kiedyś tam napisał, czy powiedział: „Co ma wisieć, nie utonie!”...

— Hm! To ładnie mi pan życzy!

— W każdym razie, kochany radco dobrodziej, lepiej skończyć „wysoko”, niż zbyt mokro!

— Racja!... Chodź pan wobec tego na bombkę...

Jak zwykle w takim razie, z jednej zrobiła się druga, bo to „dobre twoje, dobre i moje”, potem trzecia, znalazła się kompanijka i wrócił człowiek do domu lekko „załany”, radca zaś, bojąc się o całość swej osoby, a nie dowierzając swym zdolnościom tańcowania po desce, pojechał do domu fijkrem, klnąc, na czem świat stoi, tych inżynierów, którzy nie wyewakuowali w swoim czasie Rudawy hen daleko poza Kraków, skądby nam już na złość robić nie mogła.

C. k. Zarząd zdrojowy zawiadamia, że Zakład kąpielowy w Krynicy został otwarty z dniem 20 lipca b. r. Ceny kąpiel niższe według taryfy sezonu I. do 1 września b. r. Taksa zdrojowa niższa. Stosunki sanitarne znakomite.

Dr. WŁADYSŁAW EKIERT

adwokat krajowy

przeniósł kancelaryę na ulicę Smoleńsk 23.

Radca Dr. EBERS KRYNICY
ordynuje jak zawsze w c. k. Zakładzie wodoleczniczym w